

byłem zły

**ANTONIO
FERRARA**

Przekład
Anna Popławska

Wydawnictwo WAM
Księża Jezuici
Kraków 2013

Tytuł oryginału
Ero cattivo

© EDIZIONI SAN PAOLO s.r.l., 2012
Piazza Soncino, 5 - 20092 Cinisello Balsamo (Milano)

© Wydawnictwo WAM, 2013

Redakcja:
Dariusz Godoś
Współpraca:
Elżbieta Krok

Projekt okładki wg oryginału
do druku przygotował Andrzej Sochacki

Skład i opracowanie graficzne
EDYCJA

ISBN 978-83-7767-851-0

Wznowienie 2013

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl
www.wydawnictwowam.pl
DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl
KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
tel. 12 62 93 260, 12 62 93 446-447
faks 12 62 93 261
e.wydawnictwowam.pl

I

Byłem zły. Wszyscy o tym wiedzieli. W szkole gadali tylko o mnie. W mojej dzielnicy też. Nigdy nie siedziałem spokojnie, ciągle coś kombinowałem. Bardzo chciałem być grzecznym chłopcem z trzeciej klasy gimnazjum, ale bałem się zachowywać jak greczny chłopiec, bo obawiałem się, że kumple zaczną się ze mnie wyśmiewać.

Nie żebym znowu robił jakieś straszne rzeczy. Jedynie plucie do chrzcielnicy, kropienie kotów wodą święconą, przyklejanie taśmy na domofonie proboszcza. Takie tam głupy, nic wielkiego.

Ale wtedy w szkole przegiąłem.

Spuściłem przez okno na linie plastikowy szkielet z pracowni biologicznej do sali piętro niżej i goście z III C zobaczyli w oknie portret śmierci, zawieszony w próżni jak zjawą, i serce podskoczyło im do gardła. Tylko że babce od angielskiego serce podskoczyło całkiem na serio, jak zobaczyła w oknie bladego trupa z pustymi oczodołami.

– Oh, my God! – westchnęła i upadła pod stół.

Karetka przyjechała niemal natychmiast i zabrała nauczycielkę, a żeby zdjąć szkielet, trzeba było wezwać strażaków, bo jedna kość wpłatała się w żaluzje i nie można go było ruszyć ani w górę, ani w dół.

W ten sposób znalazłem się przed biurkiem dyrektora, starego profesora Giovanniego Volpiego. Okulary wisiały mu na czubku nosa, a on nie podnosił wzroku znad papierów.

Zacząłem obgryzać paznokcie kciuka. Przyszło mi do głowy, że za karę dyrektor każe mi odśnieżać całe podwórze. Przez ostatnie trzy dni napadało sporo śniegu.

W końcu dyrektor podniósł wzrok, zdjął okulary, starannie je złożył, spojrzał mi w oczy i przemówił.

– Drogi Angelo, tym razem nie jest dobrze.

Cisza.

Milczałem.

Starałem się nie ruszać. Starałem się nie oddychać.

Lodowate oczy przenikały moją duszę i czekały na odpowiedź.

– A więc?

Spojrzałem wokoło, po to żeby uciec od jego spojrzenia. Pokój pogrążony w półcieniu napawał mnie wielkim smutkiem. Nasza szkoła zajmowała budynek dawnego klasztoru. Ten pokój był przeznaczony dla sióstr, dla ich cichych, delikatnych kroków. Moje nowe buty w całej tej ciszy robiły straszny hałas, jak tylko się poruszyłem. Piszczwały na każdym kroku, jakbym miał w środku myszy.

– A więc? – nalegał dyrektor mocniejszym głosem, z poważnym wyrazem twarzy. Wstał z krzesła. – Czy zdajesz sobie sprawę, coś ty narobił?

Dobra, stary Jo załadował magazynek pistoletu i trzymał go w gotowości przez pół godziny, zanim skończył. Ja słuchałem w milczeniu z rękami za plecami, jakby mnie związali albo założyli mi kajdanki, z poważnym, skruszonym wyrazem twarzy, jakby mi było naprawdę przykro. Przytakiwałem wszystkiemu, co mówił, każdemu bezcennemu słowu, które do mnie wypowiadał.

– Zmarła – powiedział słabym, zmęczonym głosem i opadł na krzesło. – Profesor Balducci zmarła.

2

Nie powiedziałem nic. Niby co miałem powiedzieć? Poczuję się, jakby coś ciężkiego spadło mi na serce, i zrozumiałem, że jest już za późno, że nic już się nie da zrobić. Stary Jo z grubą bruzdą pomiędzy brwiami siedział i wpatrywał się w papiery, jakby szukając w nich wyjaśnienia.

Opuściłem gabinet bez słowa. Przeszedłem przez długi korytarz. Wyszedłem na werandę i usiadłem na schodach. Spojrzałem na góry. Zasłaniały je czarne chmury. Przepadłem. Nauczycielka. Moja matka. Mój ojciec. Śnieg. Ależ padało! Przez chwilę gapilem się na buty, które dostałem od rodziców. Wstałem i przeszedłem przez dziedziniec. Czarne buty zostawiały głębokie ślady. Denerwowało mnie, że będą mokre od śniegu.

Przeszedłem przez pusty refektarz, który za chwilę miał się wypełnić roześmianymi uczniami ustawiającymi się w kolejce z talerzami w rękach. Zazdrościłem im. Ja nie byłem już taki jak oni.

Kiedyś w tej sali sklepiłem stos talerzy, używając superglue, i talerze zostały tak na zawsze. Stos talerzy wysoki jak wieżowiec. Niezły kabaret. Musieli wywieźć go na wózku.

Wszedłem piętro wyżej, spokojnie się umyłem i poszedłem do swojego pokoju. Było wcześniej, nie spotkałem nikogo. Wróć po kolacji. Może i lepiej, bo jak jest za dużo chłopaków naraz, nigdy nie prowadzi to do niczego dobrego, zawsze coś wykombinują. Rozebrałem się, zdjąłem buty, które jak dwaj policjanci na straży patrzyły na mnie zdziwione. Zgasilem światło i położyłem się do łóżka, próbując nie myśleć.

Długo nie mogłem zasnąć. Drażnił mnie mrok. Nie chciałem leżeć na plecach, ponieważ nawiedzała mnie kobieta zjawa i siadała mi na brzuchu. A jak stopa wystawała mi spod kołdry, chwyciła mnie za nią.

Leżałem z otwartymi oczami. Mrok był bardzo gęsty, mogłem go dotknąć ręką. W głowie tkwiła mi jedna gorzka myśl. Myśl ta była ogromna, nie wiedziałem, co z nią zrobić, chodziłem wokół niej, przyglądając się jej z każdej strony. Myśl brzmiała: „zabiłem człowieka, kobietę”. Nie byłem w stanie tego znieść, mdliło mnie, nie mogłem oddychać. Problem w tym, że chciałem zapanować nad myślami, ale moja głowa żyła swoim własnym życiem.

Starałem się myśleć o innych rzeczach, o śniegu na podwórzu, o boisku do koszykówki, o pokoju nauczycielskim z czerwoną sofą, na której zawsze spał kot. Pomyślałem, że jedyne, co się liczy w życiu, to nieustanny sen.